

3/4
2023

JACHTING

WWW.JACHTING.COM

 **AZIMUTH**
SPECIAL VACATION CRUISING



KNOW HOW

BEZPIECZNY
ZAKUP JACHTU

JACHTING RETRO

WITAJCIE
MIKOŁAJKI KOLOROWE

VIP NA OKŁADCE

DUFOUR 41

MADE BY



DUFOUR



Cena 15 zł
w tym 8% VAT
ISSN 0857-4337
INDEKS 953014



TRAGEDIA NA MORZU

„JACHTING”



CHORWACKA
MAJÓWKA





Ostatni raz w Chorwacji pływaliśmy jeszcze przed pandemią COVID-19. Było to w maju 2019 roku. Potem pandemia zatrzymała świat. Gdy już można było tam jeździć, obowiązywały jeszcze testy, co ograniczało swobodę czasową rejsu. Tak więc w latach popandemicznych żeglłowaliśmy w majówki po Bałtyku. Ale w 2023 roku nic już nie stało na przeszkodzie, by majówkę spędzić w Chorwacji. Dodatkowym argumentem „za” był układ dni wolnych: 1 i 3 maja wypadały w środku tygodnia. Dlatego też nie zastanawialiśmy się długo. Na początku roku podpisaliśmy umowę czarteru i skompletowaliśmy załogę.



Stawomir
Michałowski

Wreszcie nadszedł ten dzień i w piątek 28 kwietnia ruszyliśmy do Chorwacji. Z Warszawy wystartowaliśmy ok. godziny 1500. Jechaliśmy na dwa samochody, gdyż załoga liczyła osiem osób. Kierowaliśmy się jak zwykle do Czech, do Mikulova przy granicy austriackiej, gdzie mieliśmy zaplanowany nocleg. Droga była dobra, od zjazdu pod Łodzią z autostrady A1 do Czech cały czas jechaliśmy autostradą A2. Szybka i wygodna podróż. Do Mikulova dotarliśmy ok. 2200. Na parkingu hotelowym były same polskie rejestracje. Po ulokowaniu się w dwóch pokojach zeszliśmy jeszcze na moment do kawiarni hotelowej. Nie siedzieliśmy długo, lecz położyliśmy się zaraz spać.

W sobotę ok. godziny 0700 wyruszyliśmy w dalszą drogę. Z Czech wyjeżdżaliśmy w strugach deszczu. Także w deszczu, ale coraz mniejszym, dojechaliśmy do Wiednia. Potem mieliśmy już tylko słońce. Przejazd do Chorwacji przebiegał

KOLEJNY RANEK
POWITAŁ NAS JESZCZE
SŁOŃCEM. OK. 0900
WYSZLIŚMY Z PORTU.
WIATR TROCHĘ
PRZESZKADZAŁ
W ODEJŚCIU, ALE NIE BYŁ
PROBLEM



bez problemu. Ponieważ Chorwacja jest już w strefie Schengen, nie było żadnego korka na granicy. Po prostu wszystkie granice przejechaliśmy bez zatrzymywania. Do mariny Zaton obok Sibenika dotarliśmy ok. godziny 1600. Ja, Jarek i Weronika odebraliśmy jacht. Pozostała część załogi (dwaj Piotrowie, Gosia, Julka i Krzysiek) robili w tym czasie zakupy rejsowe w niedalekim supermarkecie. Odbiór jachtu przebiegł sprawnie, ale zajął trochę czasu. Jacht był czysty i w bardzo dobrym stanie technicznym, ale oczywiście przeszliśmy całą naszą listę kontrolną. O godzinie 2000 był już odebrany, zakupy zrobione i zasztauowane. W trakcie kolacji zrobiłem odprawę bezpieczeństwa, a potem zmęczeni podróżą położyliśmy się spać. Niedziela powitała nas pięknym słońcem. Z portu chcieliśmy wyjść jak najwcześniej, ale

jeszcze bosman instalował na jachcie naprawioną szprycbudę (zsyte rozdarcie). W tym czasie zrobiliśmy załodze ćwiczenia z zakładania kamizelek ratunkowych oraz użycia pasów bezpieczeństwa. Z mariny Zaton odpłynęliśmy ok. godziny 1000. Mijając Sibenik, zjedliśmy śniadanie w kokpicie. Weszliśmy w kanał, przeszliśmy obok twierdzy Świętego Mikołaja, a następnie, idąc wzdłuż wyspy Zlarin, wyszliśmy na pełne morze.

Postawiliśmy genuę, ale wiatr był bardzo słaby, więc zrolowaliśmy ją z powrotem i w dalszym ciągu szliśmy na silniku. W międzyczasie Weronika robiła dla nowicjuszy szkolenie z wiązania objaczy, knagowania i buchtowania lin. Po pewnym czasie wiatr zaczął się wzmacniać. Postawiliśmy genuę oraz grot. Na żaglach zrobiliśmy już 4–5 węzłów. W pewnym momencie niedaleko nas pojawiły się delfiny. Widzieliśmy ich grzbiety i płetwy grzbietowe, gdy częściowo wynurzały się z wody. Niestety, nie udało się zrobić zdjęć, ponieważ za szybko zniknęły pod wodą.

Mieliśmy pełne słońce, w miarę silny wiatr, więc żegluga na żaglach była bardzo przyjemna. Niestety, po pewnym czasie wiatr uciął i do Rogoznicy doszliśmy już na silniku. Zgodnie z locją marinę należy wywołać na kanale 17. Jednakże mimo wielokrotnego wywoływania nikt nie odpowiadał. Ale na brzegu już machał do nas mariner i wskazywał nam miejsce do cumowania obok dużego katamaranu. To pierwsze cumowanie tym jachtem, więc jeszcze nie do końca znałem jego zdolności manewrowe. Próby na pełnym morzu, które zrobiliśmy po drodze, to jednak nie to samo, co manewry w porcie. Idąc rufą do kei, kontrowałem lekki, spychający wiatr. Mimo że to pierwsze cumowanie nie do końca jeszcze rozpoznany pod względem manewrowym jachtem, wszystko poszło zgodnie z planem. Dopiero po zacumowaniu pomyślałem sobie, że ta burta dużego katamaranu obok nas to nie ściana z laminatu, ale tak naprawdę ściana z co najmniej 1,5 mln euro. Ale podczas manewrów nie można tak myśleć. Trzeba skupić się na perfekcyjnym wykonaniu manewru. Marina w Rogoznicy była duża, z dobrym zapleczem socjalnym. Stały tam duże katamarany, jachty żaglowe i wielkie jachty motorowe. Niektóre z nich to co najmniej 30-metrowe, 4- lub 5-pokładowe statki. Zastanawiałem się, czy do ich prowadzenia wystarczą uprawnienia sportowe, czy też trzeba już raczej mieć „papiery zawodowe”. Zanim przeszliśmy na ląd, na pokładzie zjedliśmy obiad i obserwowaliśmy inne jachty, które w międzyczasie podchodziły do kei. Po obiedzie poszliśmy do Rogoznicy. To małe miasteczko. Jej najstarsza część jest położona na wyspie połączonej ze stałym lądem groblą, po której przebiega droga. Stara Rogoznica to kamienne domki, bardzo wąskie uliczki pnące się na szczyt wzgórza z małym kamiennym kościołem. Wzdłuż nadbrzeża są liczne restauracyjki. W jednej z nich usiedliśmy na kawę. Po ogródku restauracyjnym i po ulicy przechadzało się wiele kotów. Głównie jednak kręca się przy stolikach restauracyjnych, oczekując na smaczne kąski od biesiadników. Po krótkiej obserwacji zauważyliśmy, że każdy kot ma swój rewir, z którego przegania intruza. Po spacerze wróciliśmy

DOPIERO PO ZACUMOWANIU
POMYŚLAŁEM SOBIE,
ŻE TA BURTA DUŻEGO
KATAMARANU OBOK NAS
TO NIE ŚCIANA Z LAMINATU,
ALE TAK NAPRAWDĘ ŚCIANA
Z CO NAJMNIEJ 1,5 MLN EURO

na jacht i wieczór spędziliśmy na pokładzie. Obok nas inne załogi także kończyły dzień przy lokalnych napojach.

Kolejny rano powitał nas jeszcze słońcem. Ok. 0900 wyszliśmy z portu. Wiatr trochę przeszkadzał w odejściu, ale nie był problemem. Naszym celem był Trogir. Ponieważ nazajutrz, we wtorek, prognozy pogody zapowiadają bardzo silny wiatr, do 38 węzłów, to Trogir jest dobrym portem schronienia. Wychodząc z Rogoznicy, zarezerwowaliśmy miejsce w marinie ACI w Trogirze, aby mieć pewność, że przeczekamy sztorm. Możliwe przecież, że i inni wpadli na pomysł cumowania w Trogirze na czas sztormu. Tymczasem była ładna pogoda: słońce, stabilny wiatr 3 B. Poszliśmy w głąb morza. Postawiliśmy grota oraz genuę i popłynęliśmy pełnym bajdewindem w mocnym słońcu pod niebieskim niebem. Zrobiliśmy 5–6 węzłów. Piękna żegluga! Po pewnym czasie zrobiliśmy zwrot i udaliśmy się w kierunku brzegu. Nie spieszyliśmy się do portu, bo mieliśmy już zarezerwowane miejsce w Trogirze. Chcieliśmy jak najdłużej cieszyć się żegluga pod żaglami. Po pewnym czasie wiatr się wzmógł i momentami szliśmy z prędkością nawet 7–8 węzłów. Stopniowo zbliżaliśmy się do Trogiru. Po minięciu małego promu zrzuciliśmy żagle i pół mili przed portem wywołaliśmy przez radio marinę ACI. Po kilkukrotnych próbach wywołania mariny zakończonych niepowodzeniem zadzwoniłem do niej przez komórkę. Pani zasugerowała, by wywołać ją przez radio, gdy już będziemy w porcie, bo teraz jest za daleko i nie ma zasięgu (!). Po dojeździe do mariny, po ponownym wielokrotnym wywołaniu w końcu odpowiedział nam mariner i niebawem pojawił się na kei, wskazując miejsce do parkowania. W marinie było dużo wolnych miejsc.

Po skłarowaniu jachtu – prysznic, potem obiad na pokładzie i wieczorem poszliśmy na trogirskie stare miasto. Przy nabrzeżu stała ładna, trójmasztowa jednostka wycieczkowa. Zagłębił się w wąskie kamienne uliczki pełne restauracji i kawiarni. Dodatkowego uroku dodawało dobrze dobrane oświetlenie tego labiryntu uliczek. Na następny dzień zostawiliśmy sobie wizytę w jednej z restauracji. Po spacerze wróciliśmy na jacht. W samą porę, bo zaczął padać deszcz. Zgodnie z prognozami we wtorek pogoda zmieniła się radykalnie w stosunku do wcześniejszych dni. Od samego rana w marinie wiał silny wiatr. Padał także deszcz i było chłodno. Wstaliśmy później niż zwykle, bo przecież staliśmy w porcie. Nieśpiesznie zjedliśmy śniadanie i poszliśmy do miasta. Po drodze w sklepie żeglarskim kupiliśmy taśmę do naprawy żagla, na grocie zauważyliśmy bowiem niewielkie, ok. 15-centymetrowe rozdarcie. W porozumieniu z armatorem zabezpieczyliśmy je taśmą. W Trogirze odwiedziliśmy bazar, gdzie kupiliśmy lokalne wyroby: oliwę, miód lawendowy, śliwovicę oraz rakiję gruszkową.

Po spacerze zjedliśmy obiad w restauracji. Zdecydowaliśmy się oczywiście na lokalne specjały – deskę mięsną, rybną oraz grillowane warzywa. Deska mięs to różne gatunki mięs grillowane lub wędzone oraz w formie małych szaszłyków. Deska rybna to dwie duże ryby, krewetki, ośmiorniczki oraz solidna



szufla muli. Jedzenie dobre i sycące. Na koniec kelner rozdzielił każdemu po kieliszku rakii (wersja męska) lub wiśniówki (wersja damska). Na koniec zamówiliśmy jeszcze po filiżance kawy.

W drodze powrotnej na jacht weszliśmy jeszcze na basztę starej twierdzy Kamerlengo górującej nad wejściem do trogirskiego portu. Ze szczytu baszty roztacza się piękny widok na stare miasto, port oraz zatokę. Na zatoce nie było żadnego jachtu, bo cały czas wiał silny wiatr. Po powrocie na jacht zabezpieczyliśmy rozdarcie żagla. Jak to zwykle bywa (prawa Murphy'ego wiecznie żywe), rozdarcie znajdowało się w najmniej dostępnym i najmniej wygodnym do klejenia miejscu. Ale po pewnym czasie udało się dobrze nakleić taśmę z obydwu stron. Do końca rejsu rozdarcie było zabezpieczone i w ogóle niewidoczne.

Po południu pogoda się poprawiła. Pojawiło się słońce. Po wieczór szliśmy raz jeszcze do miasta po uzupełniające zakupy spożywcze i wieczór spędziliśmy w kokpicie, smakując lokalne specjały. Środowy rano zbudził nas jeszcze deszczem i chmurami, ale po sztormie nie było już śladu. Przed 0900 wyszliśmy z Trogiru. Deszcz przestał padać, ale na niebie nadal znajdowały się ciemne chmury i było chłodno. W użyciu kurtki i zimowe czapki. Mimo to śniadanie zjedliśmy w kokpicie, w trakcie żeglugi. Szliśmy na silniku wzdłuż wyspy Solta w kierunku cieśniny między Solta a wyspą Brač. Po drodze mijano nas kilka dużych jednostek motorowych oraz okręt Chorwackiej Marynarki Wojennej (Hrvatska Ratna Mornarica), korweta „Sibenik” klasy „Koncar”. Wiatr był raczej słaby, ale czasami się nasilał, więc co jakiś czas próbowaliśmy iść na żaglach, ale gdy nasza prędkość spadała poniżej 1 węzła, wspomagaliśmy się napędem mechanicznym. Po minięciu cieśniny obraliśmy kurs prosto na Stari



Grad na wyspie Hvar. Stari Grad leży w głęboko wciętej zatoce, tak więc cały czas sterowaliśmy na przesmyk między dwoma górami. Im bliżej byliśmy celu, tym więcej pojawiało się jachtów zmierzających do tego samego portu, co my. Poprawiała się także pogoda. Było coraz mniej chmur, coraz więcej niebieskiego nieba i słońca. Robiło się coraz cieplej. Ale nadal brakowało wiatru i cały czas szliśmy na silniku.

Do Starego Gradu weszliśmy już w pełnym słońcu. I na przykład dotychczasowym warunkom – wtedy wiatr wiał wzdłuż kei.

PRZESZLIŚMY OBOK
MIEJSCA, NAD KTÓRYM
UWIJA SIĘ BARDZO DUŻA
LICZBA MEW. CO JAKIŚ
CZAS Z WODY WYCHODZIŁY
PŁETWY GRZBIETOWE
DELFINÓW. WYGLĄDAŁO
TO NA ICH POLOWANIE
NA ŁAWICĘ RYB

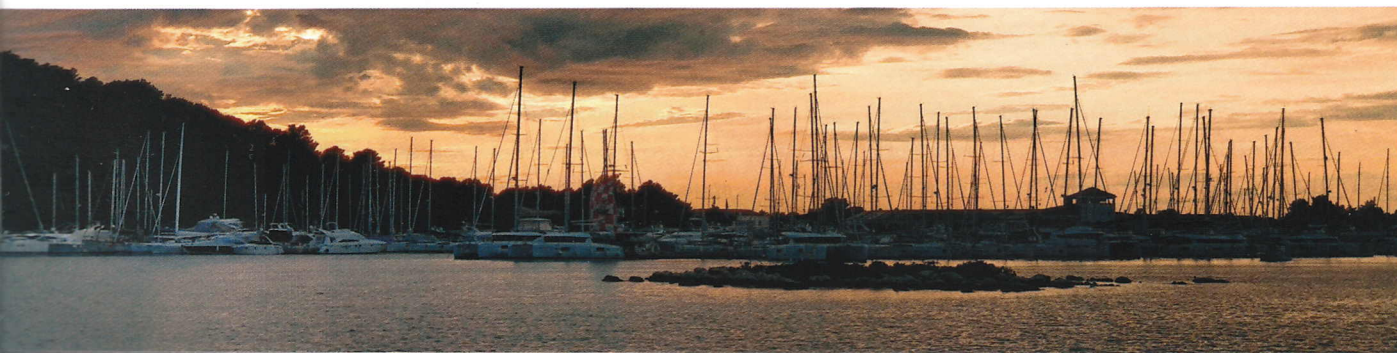
Przy nadbrzeżu stało już sporo jachtów, a my zacumowaliśmy jednocześnie z jeszcze trzema innymi. W opinii naszej żeńskiej załogi w tym porcie „wreszcie jest przystojny marinero”, co podobno zalicza się jako duży plus portu. Po obiedzie na pokładzie zapuściliśmy się w wąskie kamienne uliczki tej starej miejscowości. Stari Grad to najstarsze miasto na wyspie Hvar, założone podobno przez Greków w roku 384 p.n.e. Grecy nazwali je Faros. Tu stoi dom, a raczej rezydencja, którą zbudował i w której spędził praktycznie większość swojego życia chorwacki poeta Petar Hektorović (1487–1572). Dla renesansowej literatury chorwackiej jest on tak samo ważny, jak dla polskiej Jan Kochanowski.

Spacerując uliczkami, dotarliśmy do kamiennego kościoła, w którym odbywała się akurat msza. Potem przemierzaliśmy wąskie, dwumetrowej szerokości uliczki do małego placu, nieopodal którego zrobiliśmy sobie przerwę na lody i kawę. Na jacht wróciliśmy już o zachodzie słońca, idąc kamiennym nadbrzeżem. Po chwili integracji w kokpicie poszliśmy spać.

Ranek tym razem to niebieskie niebo i lekki wiatr. Było ciepło. Ze Starego Gradu wyszliśmy na silniku, a gdy prędkość wiatru wzrosła do 5 węzłów, postawiliśmy genuę i zjedliśmy śniadanie na wodzie. Po nim kilka osób z załogi plażowało na platformie kąpielowej, mocząc nogi w zimnym Adriatyku. Oczywiście szelkami byli przypięci do jachtu. Po zakończeniu plażowania postawiliśmy grot i zaczęliśmy iść w kierunku Vis. Mieliliśmy pełny bajdewind, stały wiatr 4 B. Na żaglach zrobiliśmy ok. 7 węzłów. Do tego piękne, niebieskie niebo, błękitne morze, szum wiatru i plusk fal rozcinanych przez dziób naszego jachtu. Przeszliśmy obok miejsca, nad którym uwija się bardzo duża liczba mew. Co jakiś czas z wody wychodziły płetwy grzbietowe delfinów. Wyglądało to na ich polowanie na ławicę ryb. Mewy próbowały skorzystać z okazji i zdobyć dla siebie posiłek.

Przed wejściem do zatoki Vis zrzuciliśmy żagle. Chcieliśmy cumować w Kut, osadzie oddalonej kilkaset metrów od Vis. Po-deszliśmy do nadbrzeża, ale na pontonie podpłynął do nas marinero. Poinformował, by nie stawać w Kut, ale iść do Vis, bo jest za silny wiatr. Faktycznie, cały czas wiało 4 B. Poszliśmy więc 300 m dalej i zacumowaliśmy w Vis. Po sklarowaniu jachtu udaliśmy się do pizzerii. Zjedliśmy pizzę kapitańską, bo ostatniego wieczoru w marinie Zaton nie było infrastruktury na wieczór kapitański.

Po posiłku poszliśmy dalej nadbrzeżem do starego klasztoru i kościoła po drugiej stronie zatoki. Był tam też mały cmentarz. Stojąc przy grobach, widzieliśmy zaraz obok jachty wchodzące do zatoki. Takie połączenie doczesności z wiecznością.



W Vis nagrywano drugą część filmu *Mamma Mia: Here We Go Again!*, więc podczas spaceru wyszukiwaliśmy miejsca uwiecznione w filmie.

Nabrzeże w Vis jest „zarządzane” przez koty. Każdy z nich ma swój sektor, którego pilnuje, i czeka w nim na smaczki od załóg jachtów. Jeżeli jakiś kot wkroczy na teren innego, jest z niego przeganiany. Ale gdy ten przegoniony biedny kotek zauważy intruza na swoim terytorium, wówczas role się odwracają i tym biednym przeganiąnym staje się inny kot. Nieliczne psy chodzą na smyczy i nawet nie próbują z nimi zadzierać.

Następnego dnia rano w cztery osoby poszliśmy do pobliskiej piekarni po świeże pieczywo. Reszta załogi jeszcze spała. Ponieważ nigdzie się nie śpieszyliśmy, kupiliśmy jeszcze po świeżej słodkiej bułce i siedliśmy przy kawiarnianym stoliku nad brzegiem zatoki na filiżankę espresso. Gdy skończyliśmy kawę (na szczęście wtedy, a nie wcześniej!), pracę rozpoczęła stojąca nieopodal koparka, zbierająca tyżką resztki starej nawierzchni remontowanej ulicy i wrzucająca je na wywrotkę. Tak więc nadszedł czas na ewakuację z kawiarni. Do jachtu, zamiast nadbrzeżem, wracaliśmy bocznymi uliczkami. Oczywiście wąskimi i kamiennymi, biegnącymi równolegle do nadbrzeża. Po powrocie na jacht, gdy wszyscy byli już gotowi, odeszliśmy z Vis jako jedna z pierwszych jednostek. Pełne słońce, niebieskie niebo i tym razem morze gładkie jak stół. W takich warunkach rozpoczęliśmy drogę powrotną do Sibenika.

Mieliśmy do niego 43 mile. Szliśmy na silniku. Gdy wiatr był już całkiem silny, postawiliśmy żagle. Ale niestety, kierunek naszej drogi leży w kącie martwym, a nie mogliśmy się halsować, bo mieliśmy sporo mil przed sobą. I jeszcze musieliśmy zatankować jacht w Sibeniku, a w marinie Zaton – być przed godziną 1800. To oznaczało brak czasu na dłuższą drogę. Tak więc szliśmy na silniku. Wielka szkoda, że nie wieje z ciut innego kierunku, bo piękna pogoda, mała fala i wiatr 15 W. Ale musieliśmy iść prosto pod wiatr, więc ominęła nas okazja na piękne żeglowanie. Zostało motorowodniactwo. No cóż. Zdarza się i tak.

Przed 1700 podeszliśmy do stacji paliw przy nadbrzeżu w Sibeniku. Musieliśmy jednak poczekać i pokrążyć trochę przed



stacją, bo akurat tankował duży jacht motorowy. Brał sporo paliwa, więc musieliśmy robić przed stacją kółka z niewielką prędkością. Gdy zwolniło się już miejsce i podeszliśmy do dystrybutora, było widać, że poprzednik z jednego dystrybutora pobrał ponad 900 l, a z drugiego – prawie 500 l oleju napędowego. My tankowaliśmy jednak skromniej, bo tylko 48 l.

Ze stacji paliw poszliśmy już bezpośrednio do naszej docelowej mariny. W Zatonie byliśmy o 1820. Ku naszemu pozytywnemu zaskoczeniu czynności związane ze zdaniem jachtu odbywały się zaraz po naszym przycumowaniu. Wszystko przebiegało szybko i sprawnie i już po 20 min szliśmy do biura oddać dokumenty jachtu. I to wszystko, jeśli chodzi o formalności. Jacht zdany, nazajutrz mogliśmy ruszać o dowolnej porze. Na zakończenie rejsu, po kolacji, ściągnęliśmy spod salingu banderę i rozdaliśmy naszej załodze opinie z rejsu. Na koniec dnia graliśmy jeszcze krótko w gry planszowe, ale nie za długo i bez żadnego alkoholu, bo jutro cały dzień czekała nas jazda samochodami do Warszawy.

I tu zakończył się nasz rejs. Jak zwykle pojawia się niedosyt, że trwał tylko tydzień, i oczekiwanie, że może kiedyś uda się popłynąć na dłużej. ■

